

Zniszczenie

Dariusz
Papież


jirafa roja

Zniszczenie

Zniszczenie

Zniszczenie

Dariusz Papież

Jirafa Roja
Warszawa 2011

© Copyright by Dariusz Papież, 2011

© Copyright by Jirafa Roja, 2011

Redakcja: Hanna Kukwa
Korekta: Hanna Kukwa
Łamanie: Tatsu  tatsu@tatsu.pl
Zdjęcie na okładce: Monika Maria Pajtasz vel Isla

ISBN 978-83-62948-31-4

www.jirafaroja.pl

Wydanie I
Warszawa 2011



Spis treści

I	
Niewinne przekleństwa	7
II	
Festiwal opowiadania	22
III	
Za sąsiednimi drzwiami	40
IV	
Miasto kobiet	56
V	
Wywiad	89
VI	
Pogodny człowiek	96
VII	
Marsz żałobny	112
VIII	
Sześć stóp pod ziemią	136
IX	
Przedsionek nieba	153
X	
Ucieczka	169

I

NIEWINNE PRZEKLEŃSTWA

Pamiętam, że wszedłem do klubu. Było tam pewnie z pół tysiąca kobiet. A ile drinków i wody w toalecie! Miałem ochotę splukać pijane twarze w muszli klozetowej i przyglądać się, jak rzygają. Gdybym mógł podejść do ładnej kobiety, to chwyciłbym i poużywał. I bez tego jestem przystojnym, pijanym i przeciętnym chamem. Czasami zmierzę wzrokiem, powącham, czule zagadam i postawię drinka. Gdy niewiele się dzieje, robimy hałas i rozchodzimy się przed świtem. Jak jestem trochę miłszy, to dostaję trochę ciała. Czasami któraś zwilży mi usta i pozwoli zamoczyć. Bywa, że zauroczy mnie jej spojrzenie lub piersi albo udaję, że jestem pod wrażeniem jej inteligencji. Niektóre komplementy padają z moich ust kilkakrotnie. Całość sprowadza się do tego, że jej ciasna wagina puszczało mnie przeleci. Dobra zabawa i ostry seks, to mój środek nasenny. Zgrzytają mi zęby po każdej niezapitej wódce i przed każdym orgazmem. Po jednym zdarza mi się rzygać, a w trakcie drugiego tryskać. Zwyczajnie lubię rozbudzać w sobie emocje. Prosta wola egzystencji: bawić się bez oporu i nie opierać chętnym, atrakcyjnym kobietom. Zwyczajne myślenie miłośnika nocnych pogoni za przyjemnością. Po prostu jestem szczerym konsumentem. Pożeram wszystko, co stanie mi na drodze. Można by to nazwać edukacją na poziomie seksualnych i alkoholowych niuansów. Jestem wiecznym stażystą pozbawionym obowiązków. Sam sobie

wytyczam zadania. Skrupulatnie popełniam błędy. Najprościej w świecie nie jestem wymagającym uczniem. Dobre teksty nawijam bez alkoholu. Oczywiście każda wódka daje mi trochę swobody. A kobiety? Daję im więcej przyjemności niż oczekują. Kiedy kobieta dochodzi przy mnie siedem razy, a ja tylko trzy, czuję satysfakcję podwójnie spełnionego zadania. Czasami zdarza się ziemia obiecana. Innym razem to tylko odskocznia od codziennej zmiany skarpetek. Lubię porywać się do głupich pomysłów, a to zdarza się jakiś mały fetysz. Na przykład ostatnio próbowałem sprawdzić, czy wszystkie pod tą warstwą ciasnego seksapilu mają wygolone krocza. Bywają dni, kiedy czuję się tutaj jak w zoo. Różne zwierzęta i różni zwiedzający. Niekiedy jest romantycznie, zakołysz mnie jakaś farbowana brunetka, przyklei do tyłka i poprzytula. Pojawia się mnóstwo ruchów dłoni i intymnej tonacji. Na końcu wychodzi, że okazynie mam do wyboru w samochodzie lub w żeńskiej toalecie.

Później już nie ma takich problemów. Nad ranem okazuje się, że poszło całkiem sprawnie. Otwieram oczy i na wprost widzę wygoloną okolicę bikini. Unoszę głowę, by w całej okazałości ujrzeć przed oczami nagą blond studentkę. Spoglądam na zegarek. Jest 7:20. Rozglądam się. Okazuje się, że jestem w akademiku. Dochodzę do wniosku, że lepiej będzie nie budzić tej słodkiej, uroczej, o imieniu na J lub M, nieznajomej. Po cichu zakładam granatowe bokserki, wciągam spodnie i wymiętoloną koszulę. Podchodzę do okna. Okazuje się, że jestem na parterze, więc otwieram okno i wysłizguję się niczym przestraszony pacjent po nieudanej wazektomii. Powoli zaczynam sobie przypominać cały ten bajzel, którego doświadczyłem minionej nocy. Uznaję, że wszystko poszło świetnie i najważniejsze, że obyło się bez nadwerężonych organów.

Dobiega mnie pisk studentek przyglądających się mojej ucieczce.

— Dzień dobry drogie panie. Czyż to nie piękny dzień na miłość?

Słońce grzeje. Dopinam koszulę. Zahaczam o kiosk. Kupuję fajki i szukam taksówki. Żadnych taksówek. Nic nie będzie. Niedziela, a ulica zakryta grobowym smutkiem. Więc siad na przystanek obok uroczej staruszki z twarzą zmarszczkami chlaśniętą niczym morda mopsa. Papieros w usta i czekam. Siódmką do celu. Dwadzieścia minut, podczas których dołączają się jeszcze dwie staruszki i starszy pan z laską — rzecz jasna drewnianą. Podjeżdża autobus, a w nim same kobiety. Na oko między pięćdziesiątym a dziewięćdziesiątym rokiem życia. Co to? *Emeryt na niedzielę*? Podejrzewam, że do kościoła św. Mikołaja na niedzielną mszę. To trafiłem w dziesiątkę. Ściśnięty pomiędzy stadem jesiennych chrześcijan. Zgnieżdzeni niczym kotlety, jedziemy do żywota wiecznego. Amen.

Czuję wibrację w okolicy krocza. Spoglądam, czy to przypadkiem któraś ze starszych pań nie próbuje uroczo mnie zalaskotać i pośród ścisku sięgam po telefon. Dzwoni Heniu, mój wydawca. Pięknie.

— Mam wypełnić formularz zgłoszeniowy do Nagrody Nobla, czy będziesz do mnie dzwonił każdego dnia?

— Jak praca nad powieścią? Mamy termin. Umówiliśmy się na koniec lata. We wrześniu miała pójść do druku.

— Mamy czerwiec.

— Gdzie jesteś?

— Na drodze do świętości. Jadę z grupką przemitych kobiet odnaleźć wieczne ukojenie. Drogie Panie — schyliłem głowę w stronę staruszek.

— Znowu piłeś i rzucałeś haki na panienki?

— Nie mogę ciągle siedzieć i pisać, trzeba korzystać z życia. Mam dwadzieścia siedem lat. Jestem starym człowiekiem. Panie wybaczą.

— Jesteś jak mała dziwka. Nie wiesz, kiedy przestać. Co z twoją karierą? Co z naszym terminem?

— Jeszcze czas, tak. Mam mały kryzys.

— Masz kryzys w każdej minucie między piątkiem a niedzielą. To alkohol i panienki zawróciły ci w głowie, nie kryzys.

— Bądźmy w kontakcie.

— O dziewiętnastej czytasz początek nowej powieści na Festiwalu Opowiadania. Dzisiaj. Nie jutro. Nie w 2012. Tylko dzisiaj. W Teatrze Współczesnym we Wrocławiu.

— Cholera.

— Masz coś? Cokolwiek?

— Zaraz naskrobię coś na kolanie.

— Żebym nie musiał cię zbierać po barach.

— Już siadam i piszę.

Dla rozwiania niejasności. Nazywam się Mirek Badaj. Jestem pisarzem. Tak jakby. Przynajmniej tak się mówi na to, co robię. Pisanie. Dwa lata temu pewne renomowane wydawnictwo z Krakowa wydało powieść, którą okrzyknięto najbardziej niepoprawnym i najbardziej niesmacznym debiutem ostatniego ćwierćwiecza. Powieść „Polowanie na dziewicę”, mimo że jej największym walorem jest gorzki humor ekscentrycznego seksoholika, oburza niemal każdego. Przyznali jej nawet specjalną kategorię wiekową.

I całe to oburzenie sprawiło, że powieść rozeszła się błyskawicznie, doczekała się dwóch wznowień i każde kolejne wydanie jest pożerane przez czytelników. Niestety, tak się złożyło, że to właśnie moje nazwisko widnieje na okładce tejże książki. Z pewnych względów moje życie stało się — dość brutalnie ujmując — przekłete. Mimowolnie wydano na mnie wyrok popularności. Mimo że nie udzielam wywiadów, unikam prasy, radia i biegających za plecami kamer, to przed jednym nie udaje mi się uciec — przed kobietami. Są wszędzie. A że „Polowanie na dziewicę”, jak to określiła pewna brunetka sprzed tygodnia, to: *erotyczna biblia, która wprowadza kobietę pod najdzikszy wodospad*, trudno jest mi się uchronić przed zmasowanym atakiem kobiecego pożądania.

O miłości pisano już wiele. Od Casanovy przez orgazm u szczytów Kilimandżaro. Ja tylko kontynuuję tradycję powielaną od

wieków. Miłość jest źródłem rozkoszy i nic na to nie poradzę. Po prostu pisanie o niej, to czysta przyjemność. Oczywiście do czasu, kiedy to miłość nie pożre ciebie. A mnie pożarła już niejednokrotnie.

Mimo wszystko w miłości jest coś niezwykłego, coś jednocześnie nieprawdopodobnego i spektakularnie pięknego. Pomimo tych wszystkich bezczelnych rzeczy, które zdarzają się po drodze, miłość jest niesamowita. W ustach takiego skurwiela jak ja, można te słowa odebrać jako zwyczajne świństwo. Przecież prawdziwa miłość to poważna spawa i należy traktować ją z należytym szacunkiem. O takich rzeczach najlepiej rozmawiać z poważną osobą. Taką jak Bóg. Więc kiedy autobus w składzie starszych pań, dżentelmenów w kapeluszach i mnie zatrzymał się przy kościele Świętego Krzyża, doznałem małego olśnienia. Gdy wszyscy wysiedli i elektryczne drzwi autobusu zamknęły się, poczułem się odrobinę samotny.

— Proszę zaczekać — powiedziałem do kierowcy. — Można? — wskazałem na drzwi.

Kierowca nacisnął przycisk, a ja stanąłem u wrót kościoła. Kościół Świętego Krzyża mieścił się na końcu Placu Metziga. Obok świątyni znajdowała się jadłodajnia Caritasu dla ubogich i bezdomnych. Plac na co dzień przepełniony był menelami, wielbicielami marihuany i strażą miejską. Był to spaceriak dla znużonych życiem. Na środku jednej połowy placu ogromny dąb o jakże przemiłym imieniu „Bolek”. Na środku drugiej połowy fontanna, w której zanurzają swoje mordy przyjezdni. W powietrzu chmara srających gołębi. Od kościoła z lewej muzeum z kopiami portretów rodu Leszczyńskich. Obok szkółka dla młodych muzyków. Naprzeciwko liceum. Można przyjąć, zobaczyć, upewnić się i poczuć miejski smród ptaków, drzew i spalin w jednym. Tu najłatwiej to odczuć. Mijam menela, kilka staruszek i wchodzę do kościoła. Barokowy urok i duża przestrzeń przyprawiają o zawrót głowy. Gdybym urodził się w siedemnastym wieku, pewnie codziennie stałbym przed kościołem i żebrał w nadziei,

że przy okazji wielkiego święta uda mi się uzbierać na jakąś tanią ulicznicę. W murach kościoła dopadł mnie spokój. A może to zwyczajne wyczerpanie? Minęło parę ładnych lat, odkąd ostatni raz byłem w podobnym miejscu. Czyżby moim pragnieniem było rozliczyć się z Twórcą? Chwili własnego olśnienia nie byłem w stanie pojąć. Może zwyczajnie poczułem głód wiary w cokolwiek? Bóg doskonale znał moje grzechy. Pewnie znajdowałem się na Jego czarnej liście, odkąd wymówiłem pierwsze przekleństwo. Wolałbym nie widzieć siebie z Jego perspektywy.

Moje pisanie było przekłete nie tylko przez pożądliwe kobiety, kochające się kochać, ale także przez żądnych krwi krytyków zarzucających mi, że w moich tekstach jest więcej seksu niż prozy, przez feministki palące każdą stronę, w której znajduje się chociaż jeden epitet wykraczający poza drobny pocałunek i przede wszystkim przez kościół. Więc znajdowałem się na terytorium, które zniesmaczone jest takimi twórcami jak ja. Może to zwyczajnie przelotna znajomość z Bogiem? Słusznie byłoby zejść z tego porno-zaulku i chociaż przez moment znaleźć się na dobrej drodze. Kto wie, może nawet odnaleźć natchnienie?

Moja następna powieść będzie bez seksu. Zero. Może trochę namiętności. A może tylko odrobina erotyzmu. Odrobina erotyzmu nie zaszkodzi. To będzie erotyzm ekumeniczny. Boże, zmiłuj się nad mą duszą.

Starsze panie przyglądały mi się z uwagą. Najwidoczniej ominął je hałas, jaki wywołała publikacja mojego debiutu. Być może zbulwersowałem niejedną ich córkę lub wnuczkę.

Na kaca — pieśń z ust starszych pań, kolorowe witraże i głos księdza nawołujący do wstrzemięźliwości. W całej tej chrześcijańskiej aurze czułem się fatalnie. Niczym grzech w korytarzu prowadzącym do nieba.

Wizyta w kościele przypomniała mi moje dzieciństwo. Od niemowlęcia byłem bardzo markotnym dzieckiem. W zerówce ryczałem w każdym kącie. W drugiej klasie podstawówki cią-

gle broiłem, przez co usadzono mnie z dziewczyną, która po każdym moim wybuchu ciągnęła mnie za uszy. W piątej klasie nosiłem aparat na górnej szczęce i strasznie seplenilem. Do pierwszej gimnazjum niewiele się odzywałem. Co niedziela ganiałem do kościoła i niechętnie odrabiałem prace domowe. Byłem osmarkanym i energicznym dzieckiem. Wszystkie oglądane bajki o rycerzach, wiedźmach, złych duchach i niezniszczalnych bohaterach sprawiały, że ganiałem po podwórku z patykiem zamiast miecza i skakałem z górki, próbując wzbić się w powietrze. Każda nowo nabyta przeze mnie umiejętność superbohatera prędzej czy później kończyła się urazem. Przerwy w ratowaniu świata zaczynały się wizytą w szpitalu. Doświadczyłem kilku złamań, zwichnięć, stłuczeń, siniaków, zadrapań i oparzeń. Zdarzyło się limo pod okiem przy okazji bójki i gwóźdź w kolanie podczas konstruktorskich eksperymentów. Lecz mimo wszystkich krótkotrwałych fascynacji tępieniem bandytów, budownictwem i podróżami w kosmos, tylko jedno budziło we mnie niezmierną i nieugaszoną ciekawość. Kobiety. O tak. Już jako dziesięciolatek chodziłem za nimi do domu i krzyczałem ich imię pod oknem. Na ich punkcie serce wyskakiwało mi z klatki, a oczy wyłupiaście kręciły się w oczodołach. Zawsze interesowało mnie, dlaczego te urocze, uśmiechnięte stworzenia nie mają siusiaka. A na szkolnych potańcówkach po kilku minutach wspólnego kołysania próbowałem zdefiniować wszystkie pojęcia związane z „chodzeniem” i „całowaniem”. A po chodzeniu i całowaniu były już tylko inne przyjemności. I tak zostało do dzisiaj.

Po godzinnej mszy mogłem pozwolić sobie na małe odtrucie kwasem z soku pomarańczowego, który wyrwałem z półki pobliskiego sklepu. Nawet nie zwróciłem uwagi na ciało brunetki, która niczym złośliwa samica geparda wkradła się przede mną w kolejkę. Nie patrzyłem na jej tyłek, który przez ponad dwie minuty bujał się na wysokości moich jaj. Pozwoliłem sobie tylko ukradkiem spojrzeć w jej oczy. Były zielone i dzikie.

To musiały być oczy żony i matki. Nawet nie przeszło mi przez myśl, że mogły to być oczy spragnionej seksu stażystki w sklepie z zabawkami dla dorosłych. Stałem obok tej ciemnowłosej kobiety i wstrzemięźliwie przywołałem się do roli zwykłego klienta sklepu samoobsługowego.

Bliskość z Bogiem dała mi po mordzie. Czułem na sumieniu znamię niejednego grzechu. Minęło dwadzieścia siedem lat od mojego chrztu, a ja wciąż zapelniam moje pudełko cielesnych przewinień. Mimo wszystko nie uważam, że seks z jedną kobietą jednocześnie jest grzechem. Seks z dwiema można uznać za przewinienie, bo w końcu uczucia do jednej zawsze będą większe, przynajmniej ze względu na jej seksualne atrybuty. A stosunek z kilkoma jednocześnie, to już chyba grzech śmiertelny, w dodatku szalenie wyczerpujący. No to pewnie trafię do piekła. Może skazą mnie na wieczną orgię. Wtedy to dopiero byłoby gorąco.

Spływa ze mnie wczorajszy seks i alkohol. Uzupełniam braki odrobiną świętości. Mimo wszystko czuję się jak ściervo. Ma ktoś jakieś żelki? Muszę czymś zabić ten kwaśny posmak w pysku. Jako dzieciak mieszkalem na wsi i ze szkoły wracałem przez las. A w tym pierdolonym mieście nie ma nawet jednego drzewa. Można się tu udusić. Zaraz puszcę pawia przechodząc przez pasy. Nawet Henry Miller miał więcej godności; po każdej orgii wracał taksówką. A ja włokę się po mieście jak niemyty od dziewięćdziesiątego dziewiątego menel. Cholera.

Z nieogoloną gębą i sokiem kartonowym w ręce idę przez miasto i łykam heteroseksualne powietrze. Miasto Leszno się nazywa. Na mapie znaleźć je można między stadionem Lecha Poznań a Wrocławiem. Takie sobie to miasto. Podobne do innych, mniejszych. Niewiele w nim niezwyklej architektury. Ulice z tej samej receptury asfaltu. Korzenie drzew w tych samych latach zapuszczane. Budynki z tych samych cegieł. Rude kobiety przeфарbowane na tę samą czerń. Mężczyźni z równie ściętymi grzywkami i psy robiące to, co zwy-

kle, tam, gdzie niewskazane, by jak zawsze przyklejało się do podeszwy.

— Ładna pogoda, nieprawdaż? — mówi do mnie uśmiechnięta, podkulona staruszka z balkonikiem. Oboje stoimy na pasach. A ja modłę się, żeby wreszcie zapaliło się zielone.

W odpowiedzi uśmiecham się najbardziej nieszczerze, jak tylko mogę.

— Rano było cieplej — kontynuuje staruszka.

Nie wytrzymuję. Chciałbym, ale naprawdę mnie bierze.

— Jest z trzydzieści stopni w cieniu. Bóg wie, ile ma pani jeszcze swetrów pod tym płaszczem. Jest tak gorąco, że gdybyśmy byli na riwierze francuskiej, to chodziłbym z jajami na wierzchu, a pani mówi, że rano było cieplej. Ciepłej już się nie da! Chyba że przyszła pani prosto z piekła.

— Menelstwo! Niewychowane! Niewyparzone! Pijaństwo! — zaczęła mi się wydzierać do pasa.

— Trafiła kosa na kamień. Nerwicy pani dostanie pod tym płaszczem. Widzi pani? zielone? Zet igrek zielone! Ja idę. A pani niech się smaży pod tym płaszczem.

— Niewychowana wulgarna młodzież! Pijany w środku dnia na ulicy! — darła się za plecami.

Nawet dupska pod wpływem zielonego nie ruszyła. Zielone zgasło. Zapaliło się czerwone. A ta jak stała, tak dalej stoi i drze papę. Musi się wykrzyknąć. Żal staruszki.

Zaraz mi głowę rozsadzi. Ześlijcie deszcz z nieba, żeby szło czym oddychać. Upał i kac. To dwa pierwsze miejsca na liście zawałów serca. Już nic dzisiaj nie wydymam. Na pewno nie w takim słońcu. Chyba że gdzieś w chłodnej piwnicy.

Wchodząc do mojego mieszkania można było poczuć smród, zaobserwować chaos i zalegający brud. Nic w moim mieszkaniu nie przypomina, by żył w nim ktoś chociaż trochę przyzwoity.

Normalność była tu obca. Porządek nieobecny. Wilgoć malowała obrazy na ścianach. Kobieca bielizna pełzała po podłodze, a szklane pozostałości po alkoholu zwyczajnie tłukły się pod nogami.

Z łyką kawy w firmowym kubku jakiejś nieznanej firmy zasiadłem przy biurku. Klawiaturę laptopa pokrywała solidna warstwa kurzu, co było dowodem mojej długotrwałej twórczej abstynencji. Podniosłem z podłogi kobiece majtki pozostawione przez specjalistkę od public creation, która po stosunku nie zakładała bielizny i przetarłem nimi kurz, po czym niemal natychmiast zabrałem się do pisania.

Brednie, bzdury, śmiecie. Kilka zdań o miłości. Wyrwane z kontekstu. Brak fabuły. O cudach i marazmie. Cycki, penisy i gierki. Bzdurne epitety. Chłam, kiczowatość i pieprzenie. Kalczenie języka. Kopulacja z własnym nieposkładaniem. Jak tu nie oszaleć? We własnej marność się nie porzygać? Skleić kilka zdań? Pozamiatać te niezdarne? Wyszlifować te zgrabne? Przeistoczyć w fabułę? I dławić się, że pięknie?

Pisanie to męczarnia. Szyderstwo z wyboru. Śmiech na zawołanie. Wystarczy uwierzyć, że się umie, że się chce i że się z tego wygrzeją jakieś korzyści.

Nieustannie jakieś dylematy. Potrzebny pomysł. Bez pomysłu każde pisanie jest tylko dłubaniem w kamieniu. Bez pomysłu tekst nie trzyma się kupy, jest rozlazły, niespójny, suchy, podrażniony i nieprzyjemny. Do tego zgrabnie dobrane tematy, porównania, zaskakujące, trzymane w napięciu odskocznie. A zwroty akcji? Sposób na nudę? Zabajerować sprawnym i niezwykłym językiem czy uroczą sytuacją? A bezpardonowość, otwartość, odrobina komizmu i bezczelności? Kiedy poważnie, a kiedy z umiarem? Dla napaleńców rozbierane scenki. Trzeba wziąć pod uwagę kto przeczyta. Nastolatka przeżywająca pierwsze fascynacje chłopcami, czy może jej ojciec, romansujący z o dziesięć lat młodszą prawniczką, wciskającą swoje aplikacje między niego a jego żonę. Wszystko musi mieć A i musi mieć Z, czyli

zdrowy początek i chorobliwie dobre zakończenie. Tekst musi być zaraźliwy, musi przyciągać, zachwycać i wprowadzać czytelnika w przyjemny stan. Zdarzają się teksty, które odurzają. Ale wtedy są albo zbyt bezczelne, albo zbyt przecpane. Bliżej mi do odurzania bezczelnością. A gdy tekst zacznie przeistaczać się w powieść, wtedy nie wystarczą luźne trzewia, poskręcane jelita, czy zapadła wątroba, wtedy tekst musi posiadać duszę. Bez duszy nie ma powieści, nie ma autora i nie ma opłaconych rachunków. Pisanie bez duszy to nie tworzenie, tylko zwykłe przeziębienie wyplute na kawałek papieru.

Do tego kawa i twarde tosty, światło lampy w oczy i zimna podłoga pod bosymi stopami. Słońce przeskakuje z jednej krawędzi okna do drugiej, chowa się za budynkami i przelatuje drugą połowę globusa. A ty głaszczesz klawiaturę przez cały ten czas i wzdychasz kurzem z powietrza. Kichasz, pierdzisz i ból głowy znosisz. Byłe coś stworzyć i chłam wydawcy przesłać. On pocieszenie z kontraktu przeleje na konto. A ty opłacisz mieszkanie. Jak dobrze pójdzie, to kupisz samochód. Minie kilka miesięcy nim znów coś stworzysz.

I tak już do końca będziesz przeżuwał swój marny żywot, niezdarne i bez fabuły.

W twórczym amoku trzy godziny na papier przelałem, aż zasnąłem. Obudziłem się o czternastej, w pozycji embrionalnej, z laptopem na torsie. Chwilowo przełamałem kryzys. Kiedy nie myślę o seksie, potrafię skupić się na pisaniu. No sex = creative wraiting. Byłoby pięknie i bez zadrapań. Niestety, kilka minut po przebudzeniu usłyszałem pukanie.

Podszedłem do drzwi. Spojrzałem w oko judasza, żeby zobaczyć, kto jest po drugiej stronie. Za drzwiami stała piękna brunetka. Nigdy wcześniej jej nie widziałem. Kto to jest? Co ona tutaj robi, za moimi drzwiami? Pewnie nasłajał ją Heniu. Tylko mój wydawca mógłby wpaść na pomysł, żeby przysłać mi porządną brunetkę, która mogłaby mi przysporzyć trochę weny twórczej. To na pewno robota Henia. Otwieram drzwi.

— Powiedz Henowi, że mam wystarczająco dużo twórczego potencjału i poradzę sobie bez jego pomocy. Przekaż mu, że skończyłem z tym co piękne, uwodzicielskie, urocze i doskonale wyrzeźbione. Nawet gdyby miało być nieskalane i dziewicze.

Brunetka spojrzała na mnie niezrozumiale. Ze zdziwieniem otworzyła usta. Wyglądała naprawdę uroczo.

— Nie przysłał cię Heniu? — próbowałem zrozumieć jej wypisane na twarzy zdziwienie.

— Nie. Jestem Marta. Nowa sąsiadka z naprzeciwka. Wprowadziłam się wczoraj wieczorem. Chciałam tylko spytać, czy masz odrobinę cukru do kawy i przy okazji poznać swojego sąsiada.

— Ale gafa. Zaczekaj minutę. A w zasadzie wejdź. Po co masz stać w drzwiach. Nie zwracaj uwagi na bałagan. Na co dzień mieszka tu ktoś inny. Ktoś podobny do mnie, lecz niezupełnie ja.

Zostawiłem uchylone drzwi i udałem się do kuchni po cukier. W tym czasie Marta zrobiła dwa kroki i zmierzyla wzrokiem moje gniazdo, które nie wyróżniało się niczym normalnym. Nadmiar porozrzucanych butelek po wysokowych trunkach, sporo ciuchów obojga płci, które zdecydowanie nie spełzały do pralki i sterta porozrzucanego papieru, będącego przeterminowanym owocem twórczych wymiocin sprzed kilku tygodni.

Po raz pierwszy od czterech godzin mój umysł zgrzeszył. W myślach oceniłem ciało sąsiadki przymiotnikiem *HOT*. Przesypywałem cukier do szklanego pojemnika i dotarło do mnie, że nie potrafię się wystarczająco ukryć. Kobiecie ciało zawsze mnie dopada. Nawet w najmniej oczekiwanych sytuacjach. Kilka godzin uniesienia nad klawiaturą, z dala od chaosu, i nagle okazuje się, że za sąsiednimi drzwiami mieści się kolejna przeszkoda na drodze do twórczego pisania.

— Proszę. Oto biały proszek, który osłodzi każdą filiżankę.

— Bardzo dziękuję. Zwrócę pojemnik.

— Nie trzeba. Mam mnóstwo szklanych akcesoriów.

— Będzie pretekst, żeby ponownie porozmawiać.

— W takim razie ok. Zapraszam na kawę. Może jutro po południu? Będę miał wystarczający powód, żeby trochę tu posprzątać.

— Ok.

— Może o piętnastej?

— Dobra, to do piętnastej.

— Miło było poznać.

— Mnie również.

— Do zobaczenia.

Poszła.

Cholera. Shit. Co ja wypawiam? Miałem pisać! Pisać! Teraz mogę się w duchu przeklinać. To jest silniejsze ode mnie. I zawsze idzie tak łatwo. Dlaczego z pisanem nie jest tak samo? Dlaczego teraz? Od rana nie mogę skleić nawet kilku sensownych zdań. Nawet pół dnia nie minie, żebym nie uchronił się przed kobietami. Dlaczego to przytrafia się właśnie mnie? Dlaczego one ciągle muszą mnie nachodzić? Na dodatek tak blisko. Przecież to kilka metrów. Kilka kroków ode mnie mieszka szalenie piękna brunetka o rozpuszczonych długich włosach, zielonych oczach, wąskich pośladkach, jędrnych piersiach, długich nogach i opalonych policzkach. I, do cholery, czemu zwróciłem na to wszystko uwagę? Miałem się opamiętać.

O_PA_MIE_TAJ SIĘ.

SPOKOJNIE.

Usiądziesz i zaczniesz pisać. Wszystko będzie w porządku.

Siadam. Chwytam laptopa. Otwieram dokument tekstowy. Czytam ostatnie zdanie:

Przemoczona od deszczu ulica odbijała złote światło poranka. Przemoczona... ulica... poranka. Fuck. FUCK. F_U_C_K!!!! No nie dam rady!

Mija godzina. Od notorycznego myślenia i w następstwie bezowocnego sklejanie zdań boli mnie głowa. Tak trudno być pisarzem i obsesyjnym hetero, że na samą myśl o robieniu jednego

i drugiego robi mi się niedobrze. To zbyt wiele. Tworzyć i kochać. W ciągu nocy dochodzić cztery razy, a za dnia przy otwartym laptopie męczyć się nad kilkoma zdaniem. Istny obłąd. Może powinienem zapisać się na jakąś terapię dla seksoholików?

Powiedz to sobie otwarcie w twarz: jesteś S_E_K_S_O_H_O_
_L_I_K_I_E_M.

Podchodzę do lustra. TAK, JESTEM, JESTEM SEKSOHO-
LIKIEM.

Nie pomogło.

Moje mieszkanie to chlew. Powinienem tu kiedyś posprzątać.

Bycie optymistą ujawnia pewne skłonności, którym trudno się oprzeć. Od małego bawię się, zaspokajam popędy i wiodę cudowny egzyst. Z własnego optymistycznego obrzydzenia mógłbym namalować sobie piękny portret. Kiepski ze mnie moralista.

Dostawca przyniósł pizzę. Przypominała ciepłe wymiociny. Najadłem się, jak Wojciech Mann przed kolejną „Szansą na Sukces”. Ostatni kęs zakończyłem przyzwoitym beknięciem. Zawlokłem swoje nagie ciało pod prysznic. Głaskałem skórę żelem w nadziei, że się przetrze. Zgoliłem brodę i stałem się młodszy. Rozmasowałem na twarzy NIVEA *for MEN* i poczułem męskość. Wyszczotkowałem zęby do krwi, po czym, ponuro je szczerząc, zaśmiałem się bezdźwięcznie. Moje ciało było gotowe do bliskości ciała kobiecego. Ubrałem beżową koszulę z napisem: *No problem*. Czułem się jak samotny pies, którego spuszcza na wolność.

Opuściłem swoje śmierdzące mieszkanie. Włożyłem swój czysty tyłek do czarnego opła cory, rocznik 94 i ruszyłem na Wrocław. Nie znoszę publicznych występów, ale czasami trzeba pokazać światu swoją mordę, żeby ten mógł oceniać i krytykować. Do Wrocławia jest sto kilometrów. W takim upale każdy kilometr trzeba liczyć potrójnie. Mam cztery godziny. Wrzuciłem pod głośnik starego dobrego Toma Weitsa. Żadna dziewczyna, która jechała ze mną w tym gruchocie, nie rozumiała Toma Weitsa. Przecież to najlepszy klasyk z jajami od New Jer-

sey pod sam Mont Everest. Jestem cholernym artystą. Gdziekolwiek bym nie jechał, mogę słuchać tego, na co tylko mam ochotę. A Tom Waits mnie inspiruje. Ten nieogolony wariat ma duszę i takich typów świat właśnie potrzebuje. Rozpierdalałem się nad starym bluesowcem. Może w poprzednim życiu byłem puzonem albo pianinem? Na pewno miałem jakiś twórczy organ. Potrzeba mi porządnego podniecenia, żebym zadziałał jak twardy maszynopis i stworzył coś grubego.